891.85
S6341
On

Słończyńska

NIEBIESKI GOŚĆ

UNIVERSITY OF
ILLINOIS LIBRARY
AT URBANA-CHAMPAIGN
BOOKSTACKS

Sz. i Drogiej P. Janinie na daleką obczyznę
ofiaruję. L. Stawem d: 26/XII 50

NIEBIESKI GOŚĆ

ANNA SŁONCZYŃSKA

NIEBIESKI GOŚĆ

POEMAT O CHRYSTUSIE

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

DRUKARNIA WŁ. ŁAZARSKIEGO
WARSZAWA, ZŁOTA 7|9
1929

811.85
5634
Ow

*

* *

Był prawdą oczywistą — a nie snu marzeniem —
człowiekiem pięknej twarzy, wysokiego wzrostu.
Szedł po ziemi, jak wszyscy — raz słońcem, raz cieniem,
i nie aniołów mijał, lecz — ludzi poprostu.

Stopami swemi ślady rysował na piasku,
ciężarem swym giął łódź — aż płynęła schylona.
Oczy Mu się, jak nasze, mrużyły od blasku,
i męczył się, gdy w niebo wyciągał ramiona.

Znał powszedni smak chleba, a nawet smak mięsa,
które kładł w święte usta, uczuwszy głód ostry.
Na pogrzebach swych — ciepłe miał krople na rzęsach...
na godach — do radości śmiał się, jak do siostry...

A jednak były takie ogromne godziny,
takie nieporównane z żadnemi momenty,
kiedy każdy, co przy Nim był, drżał bez przyczyny,
i świat zmieniał się — Wolą Jego naciśnięty.

*

* *

Życie prowadził twarde. Nie posiadał domu
ani pracy tej zwykłej, co zyskami słynie.
Pracował wszędzie, gdzie był cień ludzkiego sromu,
i wszędzie, gdzie ktoś cierpiał, czuł się jak w rodzinie.

Raz wraz wychodził z miasta jakiegoś, czy z wioski,
by iść ku drugiej wiosce, ku drugiemu miastu...
(Nie miał czasu na własne swe szczęścia i troski
ani na ludzi — droższych nad uczniów dwunastu!)

A za Nim wślad płynęły szumiące podzięki
tłumu, co rósł, co wzbierał, co huczał jak morze.
A przed Nim wciąż wyrastał Drewniany Krzyż Męki,
który kiedyś śmiertelne zastąpi Mu łoże.

*

* *

Miał wszystkie nasze ludzkie dole i niedole:
twardą ziemię i miękkie błękity nad głową —
pod palcem jedwab liści, chłód wiatru na czole,
w oczach grę światła — złotą, srebrną, brylantową.

Miał wszystkie naszych natur cechy nieodzowne:
swój umysł, kołysany przez myśli tysiące,
swą wyobraźnię — w barwy bogatą cudowne,
i swe pełne krwi serce — bijące, bijące.

Miał wszystkie naszej ziemskiej historji przypadki:
dni ciężkie, niby głaz — dni upojne, jak czasza,
na skroni swej najsłodszą, najświętszą dłoń Matki
i na policzku — całus palący Judasza.

Miał wszystko, co myślimy, mówiąc słowo: „Człowiek“,
(od łez w oczach do róży ponsowej — uśmiechu!)
z tą różnicą, że w słońcu — bez spuszczenia powiek
śmiał powiedzieć, jak nikt: „Kto dowiedzie Mi grze-
[chu?“

*

* *

Co On lubić mógł? Lubił kłaść na główki dzieci
swoje Łagodne Ręce, od cudów omdlałe,
lub w miękką toń zarzucać — szare uczniów sieci:
prostacze, grube, szorstkie, łatane, zbutwiałe...

Lubił mówić do rzesz, co niesione tęsknotą
u nóg Mu się zbiegały, jak zdyszane fale,
lub iść do jednej duszy, dotkniętej ślepotą,
i tę jedną na światło otwierać wspaniale...

Lubił płynąć z uczniami daleko — daleko —
po jeziorach błękitnych, jak Jego spojrzenie,
lub zasiąść w gronie druhów i z łzą pod powieką
karmić ich Chlebem Życia — słodkim nieskończenie...

Lubił zejść w świata niskie, najniższe jaskinie,
by z ludźmi o ich świętość ciężkie staczać bitwy,
lub wchodzić ku swych dumań najwyższej wyżynie,
skąd Ojca w niebie sięgał — skrzydłami modlitwy.

*

* *

Nie wtedy czuł się wielkim, gdy lekko i śmiało
wchodził, jakby był słońcem, na wód falę gibką —
ani wtedy, gdy głosem burzę oszalałą
płoszył, niby motyla, co odfruwa szybko;

nie wtedy czuł się wielkim, gdy z ciał — trądem tkniętych —
spłókiwał trąd rękami, nakształt śnieżnej piany —
ani wtedy, gdy bezwład członków zastygniętych
rozwiązywał przez gest swój, Jemu tylko znany;

nie wtedy czuł się wielkim, kiedy wodzie w dzbanach
kazał być winem złotem, tęgiem, dobroczynnem —
ani wtedy, gdy w mrocznych sumień oceanach
czytał, jakgdyby w płytkiem serduszku dziecinnem;

nie wtedy czuł się wielkim, kiedy ciężkim chlebem
obdzielał, jak powietrzem, całe tłumy ludzi —
ani wtedy, gdy zmarłych — tuż przed ich pogrzebem —
budził mocnym okrzykiem, jak się śpiących budzi;

lecz wtedy czuł się wielkim, gdy siłą słów fali,
niosącej z sobą święte, niebieskie szaleństwo,
zagarniał swoich wiernych — aż wszystko rzucali
i z Nim szli na tułaczkę, na głód, na męczeństwo...

*

* *

Dwie muzyki ukochał w swem ziemskiem wcieleniu,
dwie głównie — brzmiące mocniej od tłumu okrzyków:
radosny śmiech wskrzeszonych po słońca ujrzeniu
i radosny, choć gorzki — płacz wielki grzeszników.

Te dwie muzyki: śmiechu muzyka i płaczu,
których tylko On jeden mógł bywać powodem —
budziły w Nim dreszcz szczęścia; w Niebieskim Tułaczu,
którego ziemia głodem morzyła i chłodem.

I żegnając już świat ten, co krzyżem obdarza,
na pewno słyszał jeszcze — życia pomnąc sceny —
słoneczny, tak jak ziemia, złoty śmiech Łazarza,
i święty, jak raj — Piotra płacz i Magdaleny!

*

* *

Cierpienie uczcił. Tak! Tem cierpieniem przeklętem,
tem cierpieniem, witanem w oburzeniu skrytem,
tem cierpieniem, tajonem ze wstydem i z wstrętem,
nietylko nie pogardzał, lecz zwał je zaszczytem.

Na wodach, kiedy tęczą grały pian kropelki,
pod szafirem, złoconym mruganiem gwiazd błogiem —
przed odsłoniętą wizją Męki Swojej Wielkiej
umiał stać w rozmodleniu, jak przed świątyń progiem.

A kiedy Mu nakoniec mglista myśl o krzyżu
stężała w Krzyż Prawdziwy, ofiary spragniony,
ku męce — już krokami dzwoniącéj wpobliżu —
szedł poważny — dostojny — podniosły — natchniony!

I tylko raz — w Ogrójca żałobnej godzinie,
skropionej krwawym potem, nabrzmiałej zmęczeniem —
wzdrygnął się przed kielichem, lecz poto jedynie,
by za chwilę go wypić — z tem większem cierpieniem.

*

* *

Czemu to — kiedy łaknął, na puszczy kuszony,
nie chciał, by Mu pod ręką — głazy zmiękły w chleby?
— Bo nie nato był cudów wiedzą napełniony,
by na tej ziemi własne nakarmiać potrzeby!

Czemu to nie przemienił w soczyste owoce
suchego liścia figi, którą znalazł pustą?
— Bo nie nato czuł w sobie życiodajne moce,
by pachnące napoje własnym dawać ustom!

Czemu to zaciśniętym na swem ciele pętom
nie kazał zelżeć — w miękkich róż girlandę białą?
— Bo nie nato posiadał siłę niepojętą,
by przed ran szkarłatami własne chronić ciało!

Czemu to swej postaci ludzkiej, jak łachmana,
nie zrzucił, aby wrogom wyrwać — buntu korzeń?
— Bo nie nato wziął na świat władzę Niebios Pana,
by w życiu własną duszę strzec od upokorzeń!

*

* *

Dla ludzi chcąc otworzyć Raju próg daleki
przez mękę, która Ojca gniewem zakolebie,
rozdawszy wszystkie Słowa Swe, ważne na wieki,
na pastwę swoim wrogom dał samego Siebie.

Wzięli Go — bezbronnego — z szatańską odwagą,
by zedrzeć Mu, wraz z sławą, skromną Jego szatę,
i pod włóczniami spojrzeń stał po chwili nago,
lśniąc dziewiczego ciała białym majestatem!

Potem Go ustrojono, jak w przepych jedyny,
w krew żywą, co trysnąwszy z pod biczów tysiąca,
szyła Mu — nawlekając swych kropel rubiny —
szatę, co purpurowa była i gorąca...

Wkońcu Go krzyżowano w tłumów przytomności,
co tak wyły na widok zawiści swej dzieła,
że aż Śmierć, która dotąd nie znała litości,
przybiegła i pośpiesznie oczy Mu zamknęła — — —

Wisiał w siności trupiej — pieszczony jedynie
przez mrok, co krzyż otulił od stóp aż do szczytu,
i czekał na Dzień Trzeci, który Go owinie
w Zmartwychwstanie, jak w szatę z nieba i ze świtu.

*

* *

Nie przyszedł po zaszczyty: po złote korony,
któremi w dniach kuszenia błyskał nad Nim szatan —
bo czem jest blichtr światowy, z pychy urodzony,
dla Tego, który właśnie Pogromcą był świata?

Przyszedł po to, by gasząc purpury zaszczytne
przez cud Swojej Pokory, co dziwi i wzrusza,
stwarzać na ziemi Ciche Królestwo Błękitne,
oparte nie na mieczach, lecz tylko na duszach!

*

* *

Ku każdej ludzkiej sprawie, zagadce, potrzebie,
przybliżał się, ażeby coś o niej powiedzieć:
ku każdej, którą wicher zdań sprzecznych kolebie,
podchodził, jak Ten Jeden, który musi wiedzieć.

I wszystkie sprawy, walką dręczone okrutnie,
szły do Niego w odwiecznych płaczów swoich szumie:
jak idą rozedrgane, wibrujące lutnie,
do Jedynego Mistrza, co na nich grać umie.

A ludzie oślepieni Nim, jak burzy błyskiem,
czuli się jednak swojsko w tych wzruszeń ogromie:
tak jakby się nakoniec spotkali z tem wszystkiem,
za czem ludzkość tęskniła dotąd podświadomie.

*

* *

Ach! jak On umiał mówić! Pod tych słów podmuchem
ziemia do lotu rwała się, niby ptak chyży!
Pod tych słów uderzeniem, jak pod próśb wybuchem,
nachylało się niebo — najniżej, najniżej.

Ach! jak On głaskał mową! Pod tych słów pieszczotą
z niemych ust tryskał — krzyku potok najprawdziwszy!
Pod tych słów pocałunkiem — zgaszone ślepotą
buchało słońce wzroku, noc gęstą przebiwszy!

Ach! jak On miażdżył mową! Pod tych słów tętentem
pękała płyta grobu, aż trup wyjrzał z pod niej —
i więcej nawet: pękał, z przestrachu lamentem,
zatrzaśnięty nad duszą umarłą — grób zbrodni!

*

* *

Milczeć umiał też mocno... Czasem, gdy Go spytał
o coś wróg — między wrogiem a Nim to milczenie
stawało nagle, niby marmurowa płyta,
o którą obijały się słowa-kamienie.

Czasem znów — gdy kto serce Mu podał z pokorą,
jak tę pustą kruż, której napoju potrzeba,
rozlało się milczenie to w krąg, jak jezioro,
odzwierciadlając Boskość w sobie, zamiast nieba.

Czasem wreszcie — gdy nędznik, żądny krzywdy czyjej,
łamał słabszego, pychą zbrojony wszechwładną,
wieszał mu Swe milczenie, jak kamień u szyi,
aż zanurzony w ciszę, jak w wodę, szedł na dno...

*

* *

O których to powiedział On: „błogosławieni"?
O tych, co mają serca świeższe od potoków,
o tych, co mają serca czystsze od promieni,
i nie plamią się, chodząc wśród wichrów i mroków — —

O których to powiedział On: „błogosławieni"?
O tych, co cudzą mękę kołyszą, jak swoją,
o tych, co cudzą radość witają wzruszeni
i nawet cudzej hańby dotknąć się nie boją — — —

O których to powiedział On: „błogosławieni"?
O tych, którzy na krzywdy swe własne nie baczą,
o tych, co idą jaśni — choć bólem zgarbieni —
i tylko czasem łzami cichutkiemi płaczą — — —

O których to powiedział On: „błogosławieni"?
O tych, którzy pokorę kochają najgłówniej,
o tych, którzy — przez świętość nad tłum wywyższeni —
ze zbrodniarzami mówią, jak z równymi równi.

*

* *

I na co On nam kazał wznosić ziemskie oczy,
ku czemu iść słabemi stopami ludzkiemi?
— Oczy wznosić na Ojca, chociaż mgła Go mroczy...
stopami schodzić w życie: ku cierpiącej ziemi...

I czem kazał zamykać pełne bluźnierstw usta,
jak studzić serce, męką płonące lub gniewem?
— Usta zamykać Słowem Swem: miękkiem jak chusta...
serce studzić modlitwą: zaświatów powiewem...

I za co kazał trzymać się, gdy droga męczy,
w czem się obmywać z pyłu ziemskiego, jak z mroku?
— Trzymać się zawsze Krzyża: niezłomnej poręczy...
obmywać się w łzach własnych: w świetlanym potoku...

*

* *

Nie mówić dużo, nie drżeć, nie szlochać, nie padać
uczył nas, kiedy ręce wznosimy do nieba:
(wszak Pan wie — nim zaczniemy sami opowiadać —
o wszystkiem, co nas boli i czego nam trzeba...)

tylko z ran naszych świeżych, co żywą krwią cieką,
bandaże pychy zdarłszy i precz odrzuciwszy,
szeptać — oczy na gwiazdach trzymając daleko —
„O Ojcze nasz, o Ojcze, o Ojcze najtkliwszy!"

*

* *

Bogactw nie przeklął: tkanin, klejnotów, pachnideł,
czy stołów, opowitych w różową z róż przędzę.
Ale radził wyrywać się z tego, jak z sideł,
i stroić w najświetniejszy z wszystkich strojów: w nędzę.

Rodzin nie wzbronił: pieśni serc, godów niewinnych,
ni domu, dzwoniącego szczebiotem kołyski.
Ale radził — kto siłę ma, wznieść się nad innych
i miłować, jak anioł: nikogo i wszystkich.

Światem nie gardził: ucztą barw, dźwięków, zapachów,
i wszystkiem, co nas w życiu (prócz grzechu) oplata.
Ale radził — przechodniem czuć się w ziemskim gmachu
i kłaść koronę koron: pogardę dóbr świata.

*

* *

Niektórych naszych grzechów silniej nienawidził —
niektóre nasze cnoty serdeczniej miłował.
Miana tych pierwszych mówił — jakby ich się brzydził,
miana tych drugich — jakby je słowem całował.

Mówiąc: „Fałsz", usta święte z takiem obrzydzeniem
otwierał, jak chcąc wypluć ohydnego gada:
przymrużał oczy, jakby drżał, że z wymówieniem
tego słowa — zmierzch ciężki na słońce zapada.

A mówiąc: „Pycha" — wyraz, co jest najdosłowniej
imieniem czarta, całem z dymu i z płomienia,
parzył się, jakby usta przytknąwszy do głowni:
potem powietrze chwytał, jak dla ochłodzenia.

Zato mówiąc: „Pokora", to anielskie słowo,
ręce w przestrzeń wyciągał, jakgdyby do Matki:
łzy Mu w oczach stawały, lśniły brylantowo,
wargi miękły — jak miękną, pieszcząc róży płatki.

A mówiąc: „Przebaczenie" — słowo „Przebaczenie",
które nad wszystko kochał — cały się przemieniał:
...drżał, jakgdyby u ramion czuł skrzydeł szumienie,
...jak światłem przez szkło — Bogiem przez ciało pro-
[mieniał!

*

* *

Największym Twórcą nie był za wieków mgławicą,
tworząc ziemię i niebios wysokie sklepienie —
ale na świecie, widną przechodząc ulicą,
kiedy stwarzał przedziwny swój cud: Rozgrzeszenie.

Bo czem jest obłąkany wiatr, wiatr szaropióry,
rozbierający ziemię, drąc na niej szat puchy —
wobec tej Niewidzialnej Mistycznej Wichury,
co grzech z duszy obrywa, jak z drzewa liść suchy?

Bo czem jest ogień, który krwią żywą się pieni
i krwawym zębem wszystko rozgryza namiętnie —
wobec tych Niewidzialnych Mistycznych Płomieni,
co umieją trąd z serca wypalić doszczętnie?

Bo czem są hałaśliwe, chciwe wodospady,
strugi dżdżu, co świat z barwy wypłókują wszędzie —
wobec tej Niewidzialnej Mistycznej Kaskady,
co krew zbrodniarzom zmyje, że — śladu nie będzie?

*

* *

Kto kiedy na tej ziemi mógł być sprawiedliwszym
od Niego, co jest przecie wśród świętych — Najświętszy?
Kto na widok Zła wzdrygnąć się umiał z prawdziwszym
wstrętem i w łunie gniewu zapłonąć — gorętszej?

A jednak — jeśli schodził w świat skruchy człowieczej:
w gąszcz łez, w labirynt wstydu, w trwóg ciemnych obfitość,
nie brał sprawiedliwości — wszak ona kaleczy —
lecz litość tylko z sobą tam brał — tylko litość.

*

* *

Jaki był dla grzeszników! Gdy się przybliżyli,
nie uciekał, jak wszyscy, pocichu lub z krzykiem.
Przeciwnie. Na spotkanie im szedł każdej chwili,
budzić z grzechów, jak ze snu — łagodnym dotykiem.

Idąc miastem, gdy spostrzegł którego na skręcie
ulicy — chciał dosięgnąć go chociaż oczyma:
więc zarzucał sieć spojrzeń, jakby wierzył święcie,
że pod siecią tą zadrży i kroki swe wstrzyma!

W gęstym tłumie, gdzie liczni stali sprawiedliwi,
a wśród nich tylko kilku z ciemnem piętnem grzechu,
ku nim właśnie — nie myśląc, czy to kogo zdziwi —
słał promiennego gońca: zachętę uśmiechu.

Podczas uczt w gronie pogan, rozpustnic, celników,
siedział słodki, jak w gronie bliskich sobie ludzi:
wlewał szept swój w gorącość hulaszczych okrzyków,
jakgdyby w ukrop — chłodu strumień, co ostudzi...

Na placach, gdy tłum runął ku nim z potępieniem,
wyjąc, grzmiąc, sycząc, łaknąc krwi nakształt szakali —
zasłaniał ich, jak skrzydłem, wzniesionem ramieniem
i stał tak, póki kaci rąk nie pospuszczali — — —

*

* *

Nie lękały się Ręce Jego: nad liljami
górujące swej bieli lilijnością miękką —
że ta biel im się zetrze lub może zaplami,
gdy zbrodniarz ją przykryje — ciężką swoją ręką...

Nie lękały się Usta Jego: bardziej kraśnie
od róż rozkwitłe, pyłów nieskalane grzechem —
że ta krasa im zwiędnie, czy nawet zagaśnie,
gdy rozpustnik ją sparzy — gorącym oddechem...

Nie lękał się Głos Jego: niźli górska rzeka
czyściej brzmiący swej srebrnej dźwięczności patosem —
że ta dźwięczność ochrypnie lub zmąci się zlekka,
gdy kłamca się w nią wmiesza — fałszywym swym głosem...

Nie lękały się Oczy Jego: od słońc we dnie
jaśniejsze, których blasku noc żadna nie wstrzyma —
że ta jasność się zamgli, czy może przyblednie,
gdy poganin jej dotknie — ciemnemi oczyma...

*

* *

To też biegli do Niego, jakgdyby w podzięce,
i siadali — wsłuchani, jak rzesza słów głodna.
Zaś On ich w swe pytania chwytał, niby w ręce,
i rozmowami dusze otwierał im do dna — — —

Chodzili za Nim wiernie, jak za Słońcem Swojem,
ślepnący — lecz niezdolni już oderwać wzroku.
Zaś On ich chrzcił Swych Oczu świetlanym spokojem,
spojrzeniem, niby blaskiem, obmywając z mroku...

Padali przed Nim na twarz, jak drzewa pod gromem,
i leżeli związani — w skruchy mocnych sidłach.
Zaś On ich wznosił z ziemi przebaczeń ogromem
i kołysał — na cichych Łaski Swojej skrzydłach!

*

* *

A główne Jego hasło, co ludzkością całą
targnie tak, iż u nowej ery stanie progów,
to te dwa słowa — w życie, co wiele słyszało,
rzucone po raz pierwszy: miłowanie wrogów.

Słysząc to hasło — kwitły chyba stare lądy
młodością, jakby nigdy nie tknęła ich zima,
bo z niem się przemieniły odwieczne poglądy,
jak ze spojrzeniem na świat nowemi oczyma — — —

Słysząc to hasło — z trzaskiem chyba gór kolumny
upadały, a w morzach huczne milkły dzwony,
bo pod niem runął nagle świata ustrój dumny,
jakgdyby w samo serce mocno uderzony — — —

Słysząc to hasło — w dzień i w nocy chyba w glorji
płonęło niebo, mroków nie znając całuna,
bo od niego na dwoje pękł wątek historji,
niby od cudownego, świętego pioruna — — —

*

* *

Wypełnił na Swym Krzyżu owo nowe hasło:
bowiem w czarnej godzinie, pod podmuchem której
życie Jego, jak słońce, całe we krwi gasło,
zasuwając się zwolna za swej śmierci chmury —

z sinych ust, już skrzywionych zlekka przez konanie
i drżących przy ostatniem spojrzeniu na świat ów,
wypuścił słowa: „Odpuść im", co niespodzianie
na gorące od szału głowy Jego katów

spadły, jak zimne rosy mistycznej kropelki,
od których wionął ziemią — Nieba zapach świeży!
Uczuł ten zapach zbrodniarz i, jak w burzy wielkiej,
wzdrygnąwszy się na krzyżu sąsiednim, uwierzył.

*

* *

I to jest Jego imię najwłaściwsze: „Miłość",
wierna w chłodach pogardy i w obelg ukropach!
Aby ją wcielić — z ziemią wszedł w długą zażyłość
i trzydzieści trzy lata na ludzkich żył stopach...

Ta jest Jego wieść dziwna aż do wstrząsu: „Miłość",
życzliwa swoim zdrajcom, katom swoim wszystkim!
Ją siał, chodząc przez śliską nędz ludzkich pochyłość,
ścigany strasznej śmierci oddechem wciąż bliskim...

Ten jest Jego cudowny nowy żywioł: „Miłość",
mocniejsza nad niewdzięczność, mocniejsza nad zawiść!
Nią tchnął, schwytany w intryg zbrodniczych zawiłość,
pijąc najnamiętniejszą ku sobie nienawiść...

*

* *

Choć mieścił całą ludzkość w Miłości Jedynej,
miał jednak takich, których się kocha wyraźniej.
Nie zwał nikogo ciepło — imieniem „rodziny",
zwał niektórych troskliwie — imieniem „przyjaźni"

Byli to i wyznawcy, i razem koledzy
w rozsiewaniu słów Jego wśród tłumów tysięcy.
Dawał im dużo więcej, niż innym, Swej Wiedzy
i Swego Przywiązania także dużo więcej.

Brał udział w wielkich smutkach, w małych ich radościach;
życzliwością współżycia idąc jak najdalej.
Kiedy tonęli, chwytał ich na wód śliskościach
i — choć miał wskrzesić — płakał, kiedy umierali.

W zimnych dniach opuszczenia i w ciemnych dniach zdrady
nie przeklinał ich nigdy — mimo, że rozpaczał.
A kiedy, wybieleni przez płaczu kaskady,
wracali z prośbą, aby przebaczył — przebaczał.

Zaś w Boskim upominku — miast dać królowanie
lub kwiaty ziemskich uciech, co pod łzami więdną,
dał im dwa szczęścia: z Sobą stałe obcowanie
i radosną śmierć — z raju pewnością bezwzględną.

*

* *

Kochali Go ci biedni druhowie i prości,
kochali raz na zawsze, bez zastrzeżeń, pięknie.
Zdawało się, że idąc wciąż wyżej w miłości,
słabe serce z mocnego wysiłku im pęknie!

Kochali Go w cudowny, niesłychany sposób,
zapalczywie i słodko, odważnie i skrycie.
Więcej, niźli świat cały — drogich pełen osób —
i więcej, niźli jedno małe swoje życie!

Kochali Go, jak nikt nie kochał do tej chwili
i jak, tem samem, nie był nikt dotąd kochany.
Tak bardzo, że pójść śmieli — choć bezbronni byli —
na bój z Światem, co w zemście jest nieubłagany!

Kochali Go, jak tylko kochać można umieć,
miłością w dziejach sławną przez swą niepowrotność.
Lecz póki żył, nie mogli Go nigdy zrozumieć:
w największych swoich chwilach — sięgał po samotność.

*

* *

O wielka samotności, święta samotności,
samotności, wśród której — rozmawiał Sam z Sobą!
(Godzina wieczorowa, godzina ciemności,
nie śmiała Go dotykać swych mroków żałobą...)

O cicha samotności, błoga samotności,
samotności, wśród której — odchodził za Życie!
(Ziemia zakrzepła w twardość, skostniała w twardości,
miękła Mu pod stopami — w płakania zachwycie...)

O górna samotności, wzniosła samotności,
samotności, wśród której — na Ducha stał szczytach!
(Noc w księżycowem srebrze, w złotej gwiaździstości,
spoglądając Mu w oczy, drżała na błękitach...)

O jasna samotności, wonna samotności,
samotności, dająca wytchnienie jedyne!
...Z jak ogromnej litości, z jak tkliwej litości,
budził się, by zejść na dół — w nędz ludzkich gęstwinę.

*
* *

Biednym: tym, których Życie w atłasy nie stroi
i których tylko wzgardą świat obdarza szczodrze —
szył przepychy z królewskiej, złotej Mowy Swojej,
której najdrapieżniejsza wichura nie podrze...

Chorym: tym, którym ludzie podają rąk końce,
a ust swych może wzbronić są nawet gotowi —
zapalał nad skroniami najbielsze Łask Słońce,
w którego blasku — cieniem stawali się zdrowi...

Prostym: tym, którzy nawet wymówić nie mogą
imienia ciężkich, sztywnych, zimnych akademji —
okrywał pierś szkarłatną Przyjaźni Swej togą,
aż się musieli mędrcy oglądać za niemi...

Smutnym: tym, którym losy z pasją jakąś dziką
czarną nić wciąż motają na doli ich krosna —
poił słuch Błogosławieństw Swych rajską muzyką,
aby do nich uśmiechnąć się mogli, jak wiosna...

*

* *

Kędy szedł — szli i owi dziwni wielbiciele,
co chodzili tłumami w stóp Jego kierunku:
chromi, ślepi, ułomni na duszy i ciele,
kaleki bez ratunku, chorzy bez ratunku;

tacy, co to ich wicher policzkuje w pędzie
i ze śmiechem za włosy ciągnie lasów gęstwa:
niemi, głusi, wyklęci w rozpaczy obłędzie,
oblubieńcy nieszczęścia, króle niedołęstwa;

tacy, co to ich deszcze tną ostremi rózgi
i słońce pali wściekle wzrokiem nienawiści:
dzicy, wstrętni, szaleni ze słabemi mózgi,
heroldzi rezygnacji, mąk rycerze czyści;

tacy, co to padają w nich niebieskie gromy
i wloką się za niemi wszystkie ziemski smutki:
skazańcy, żywe trupy, mar orszak widomy,
pasierby tego świata, życiowe podrzutki.

*

* *

Mówił do nieszczęśliwych, że nie są przeklęci.
Że męka, to nie łachman, lecz przepych królewski.
Że strój ten nosić będą wszyscy pańscy święci.
Że nosi go On nawet — Królewicz Niebieski.

Mówił do nieszczęśliwych, że są ukochani.
Że cierpienie jest jednym z głównych przywilei.
Że łzami najbezpieczniej płynąć do przystani.
Że każda łza kropelką jest z Morza Nadziei.

Mówił do nieszczęśliwych, że szczęście dostaną.
Że ziemia się zasłoni, a raj się odsłoni.
Że Ojciec po nich z chwałą wyjdzie niespodzianą.
Że nikt przy Nim tak blisko nie stanie, jak oni.

*

* *

Lecz Niewinnej Radości nigdy nie odegnał,
gdy z rozwichrzonym włosem, z umajonem czołem,
przybiegała do Niego, prosząc, by przeżegnał...
Zasiadał nawet czasem, czasem za jej stołem.

Nie drażnili Go strojni, huczni biesiadnicy,
wieńczący śnieg obrusa — girlandą barw żywą:
na prawo i na lewo, nie czyniąc różnicy,
chylił się ku sąsiadom z rozmową życzliwą!

Nie gniewało Go wino — przy kielichów brzęku
pryskające na stoły, nakształt kropel słońca:
trącał się wraz z innymi, bez wstrętu i lęku
kielich złotego trunku spełniając do końca!

Nie oburzał Go wicher śmiechu, śmiechu, śmiechu,
co wstrząsa świec płomieniem, czy kwiatu koroną:
kołysał się w rytm uczty, niby w rytm oddechu,
wesołości swej gamą brzmiąc niewymuszoną!

A jeśli gdzieś wpobliżu — konającą wonią
poskarżyła się róża, że więdnie żałośnie,
wyciągał ku niej rękę i pod Jego dłonią
rozkwitała, jak w drugiej życia swego wiośnie...

*

* *

Uśmiech fal, uśmiech lilji, uśmiech barwny tęczy,
ślizganie się promieni po szkle wodnej szyby,
uśmiech rybaków — po swym połowie, co męczy
rzucających na piasek srebrne, śliskie ryby;

uśmiech wzgórz, uśmiech winnic, uśmiech wonny pola,
zlewane z niebios złota płynnego ukropy,
uśmiech żeńców — co kiedy obrodzi im rola,
związują plon swój w ciężkie, szeleszczące snopy;

uśmiech miast, uśmiech dzieci, uśmiech ciepły godów
i uśmiech dusz, skrzydłami szumiących, jak ptaki,
błogosławił, wśród Życia przechodząc ogrodów,
On: Syn bólu, lecz Sprawca uciechy wszelakiej!

*

* *

Cóż budził rozrzucany przez Niego łask przepych,
jeżeli nie — zachwyty, zachwyty, zachwyty?
Cóż budziły cudowne uzdrowienia ślepych,
jak nie ulewę spojrzeń — jaśniejszych, niż świty?

Cóż sprawiał widok wskrzeszeń w rodzinach płaczących,
jeżeli nie — wesela, wesela, wesela?
Cóż sprawiało pętanie fal, łodziom grożących,
jak nie obłęd radości, co krzykami strzela?

Cóż niosły pierwsze dreszcze wiary niespodzianej,
jeżeli nie — ekstazy, ekstazy, ekstazy?
Cóż niósł potok przebaczeń, na grzesznych zlewany,
jak nie spazm — co już nie da się zamknąć w wyrazy?

*

* *

Cudów Swoich nie czynił On w celu olśnienia;
czynił je zawsze dla tych, co już uwierzyli.
Dość Mu było ich słowa, dreszczu, pomyślenia
ufnego — by życzenie spełnić w jednej chwili.

Nie dbał, czy błagających otacza szacunek,
ani czy było czyste aż dotąd ich życie —
jeżeli im w nieszczęściu miał przynieść ratunek,
stawiał pytanie jedno tylko: „Czy wierzycie?"

Zdało się, że nie Jego to siła cudowna
rozbraja los — lecz wiara człowieka, co prosi:
wiara ślepa, namiętna, zuchwała, gwałtowna,
wiara, o jakiej rzekł raz, że — góry przenosi.

Taką chcąc wzbudzić wiarę w Swoje Objawienie,
zstąpił z nieba nauczać i życia ból chłonąć,
mówiąc, że przyniósł ogień i że nieskończenie
pragnie, ażeby człowiek mu w sobie dał płonąć!

...A przed odejściem stworzył mistyczną Łódź Wiary,
by płynęła mrokami na jasny dusz połów.
Miał w niej pierwszym Sternikiem zostać rybak stary:
Piotr — największy wierzący pośród apostołów.

*

* *

Od owych ufnych, silnych, gwałtownych, gorących,
którzy z Nim — choć i na śmierć — szliby najwytrwalej,
zstępował też do chłodnych Tomaszów wątpiących,
jeśli uwierzyć chcieli, jeśli Go szukali.

Po cichem Zmartwychwstaniu — tchnący świeżą męką
pozwalał im podchodzić z nieufności dreszczem
i dotykać brutalną, lodowatą ręką
Swych ran — mimo zaschnięcia dostrzegalnych jeszcze.

A kiedy przekonani wzrokiem i dotykiem
płonili się — tak pycha ich była złamana —
pozwalał, aby klękli z przestrachu okrzykiem,
zwąc Go, jak najwierniejsi — wielkiem mianem Pana!

I choć: „Błogosławieni, którzy nie widzieli"
powiadał — nie wymówił im nigdy zwątpienia,
bowiem wiedział, jak zimno jest w mroków topieli
i ile jest piołunu w bluźnierstwie przeczenia...

*

* *

Nie wszystkich jednak muskał Oczu Swoich Ciszą:
deszczem łaski, co pierwszy raz na ziemi padał.
...Sceptykom, co jak Piłat, ciekawością dyszą,
ale nie chcą otworzyć serc — nie odpowiadał!

Nie wszystkich jednak pieścił Anielską Słodyczą:
pokojem przebaczenia, co niebem oddychał.
...Faryzeuszów, którzy o świętości krzyczą,
a wewnątrz, jako grób są plugawi — odpychał!

Nie wszystkich jednak poił Zbawienia Nadzieją:
szczęściem, z którem za życia już raj się zaczynał.
...Łotrów, co na swych krzyżach szatańsko się śmieją,
bluźniąc Prawdzie w godzinie swej śmierci — przeklinał!

*

* *

Miłował On zbrodniarzy, zdrajców, łotrów, katów,
co w ogniu samowzgardy, jak żywe pochodnie,
palili się na oczach świata i zaświatów
póty — aż w tych pożarach spłonęły ich zbrodnie!

Lecz potępiał zbrodniarzy, zdrajców, łotrów, katów,
co przeszywani lękiem, ostrzejszym od mrozu,
krzykiem zimnej rozpaczy napełniwszy świat ów,
biegli — nie skruchy chwytać się, ale powrozów!

*
* *

Nawet czasem Twarz Jego: ta Twarz, jak śnieg, biała
umiała spłonąć gniewu różem czy purpurą!
Nawet oczy: te Oczy, w których światłość drżała,
umiały cisnąć gromy, jakby były chmurą!

Nawet usta: te Usta — od ust kwiatu cichsze —
umiały strzelić słowem, kąśliwszem od żmii!
Nawet głowa: ta Głowa, spokojna w mąk wichrze,
umiała skrzywić wstrząsem smukłe linje szyi!

Nawet ręce: te Ręce, niosące kochanie,
umiały — zbrojne w pięści — grozić świątyń stropom!..
...Było to wtedy, kiedy świętości deptanie
ujrzał — na łup wydanej niegodziwym stopom.

*

* *

O jak bywały straszne Słowa Jego w gniewie:
kiedy, chrzęszcząc, wpadały w tłum faryzeuszy,
faryzeusze stali, jak w głazów ulewie,
cofając skroń przed ciosem — co chyba rozkruszy!

O jak bywały straszne: gdy swych fal przypływem
oblewały Judaszów, w szybkich płynąc deszczach,
Judasze upadali, jak w morzu burzliwem,
dygocąc cali w chłodnych, zimnych, mroźnych dreszczach!

O jak bywały straszne: kiedy swemi świsty
smagały gorszycieli, nakształt rózg miljona,
gorszyciele, jak w chłoście wyli rzeczywistej,
wierząc, że z pod słów — kąpiel wytryśnie czerwona!

O jak bywały straszne: gdy swą chmurą w błyskach
mknęły nad bluźniercami z piorunów syczeniem,
bluźniercy warjowali, jak w śmierci uściskach,
zgadując Wieczną Ciemność — zwaną potępieniem.

*

* *

Z przyrodą był stosunek Jego bardzo bliski:
często spał na pachnącej deszczem, gołej ziemi,
nauczał — kołysany ręką fali śliskiej,
chodził, z kłosami pieszcząc się szeleszczącemi.

Ileż to razy kazał w mig wyrosnąć drzewom
i owoc rodzić wonny — w swojej przypowieści!
Ileż razy w niej tętnić kazał wichru gniewom,
albo płakać ulewie, co srebrnie szeleści!

Co za tkliwość czuł pośród swych słownych wycieczek
dla ziarn, co trysną zbożem po siejby udręce!
Co za tkliwość dla biednych, zbłąkanych owieczek,
które pasterz, gdy znajdzie, sam bierze na ręce!

Jak wsławił ptaki, lekkie chyże ptaki wolne,
mówiąc: „Nie żną, a dola ich jest zapewniona"!
Jaką dumą napełnił śnieżne lilje polne,
gdy rzekł, że swoim blaskiem — gaszą Salomona!

A dla światła: dla tego Dnia Oka Białego,
które patrzy na ziemię, choć płynie po niebie —
cóż większego mógł zrobić, cóż ofiarniejszego,
jak to, że właśnie światło porównał — do Siebie?

*
* *

Ale czasem z przyrodą miewał i zatargi:
wtedy, gdy jej odwieczne prawa nadwerężał
lub łamał wprost — a ona musiała bez skargi
poddawać się i patrzeć na to, jak zwyciężał!

Tak to było, gdy kiedyś — pod cieniem wieczora —
niepomny na głód fali, na wiatru zasadzki,
szedł po giętkiej, łamliwej powierzchni jeziora,
jak po szkle kryształowej niezłomnej posadzki...

Tak to było, gdy raz znów — w głębi łodzi gibkiej,
oplwanej deszczem, chwianej na wód fali miękkiej,
wstrzymawszy płacz żeglarzy i wioseł rytm szybki,
burzę przegnał, jak pszczołę — jednym ruchem ręki.

Tak to było, gdy pośród świadków — niby słupy
wrytych w ziemię, zastygłych w mrozie grozy świętej,
otwierał paszcze grobów i wskrzeszone trupy
wyciągał z nich — jak swoje żywe argumenty...

*

* *

Nie w pałacu zrodzony, lecz w stajence chłodnej,
okryty w życiu nędzą, która wzgardę budzi,
na siewców do Swej Siejby, rąk aniołów godnej,
powołał ludzi pracy: najskromniejszych ludzi.

Powołał ich, bo jasne, bystre mieli oczy,
żyjące w słońcu, czyste od płaczu częstego:
temi oczyma — wiedział — których świat nie mroczy,
skrytego w ciele Boga najpierwsi dostrzegą!

Powołał ich, bo krzepkie, śmiałe mieli ręce,
spoufalone z ogniem, z mórz solą gryzącą:
temi rękoma — wiedział — niezłomnemi w męce,
czarę zmysłowych uciech najłatwiej odtrącą!

Powołał ich, bo twarde, silne mieli stopy,
zrysowane przez głazy, krwi znaczone rosą:
temi stopami — wiedział — przez żar i potopy
najodważniej Nowinę ludzkości poniosą!

*

* *

Najwyższą jednak pracą mienił Pracę Ducha,
znającą też swój chłód, swój upał, swe męczeństwo.
Zdaniami, z których zapał — niby płomień — bucha,
tej pracy nad innemi oddawał pierwszeństwo.

Kiedy w łodzi, aż ciężkiej przez połów obfity,
stał Piotr, spłoniony szczęściem, jakie chwała budzi —
jakby na przyszłość większe wróżąc mu zaszczyty,
powiedział: „Od tej pory łowić będziesz ludzi".

Kiedy uboga Marta, goszcząc Go za progiem,
krzątała się w kłopotach, co się wtedy piętrzą —
o jej siostrze, klęczącej w zasłuchaniu błogiem,
mówił: „Ta sobie cząstkę obrała najświętszą".

Kiedy Mateusz — dumny, że zmarłego grzebie,
niósł zbożnie zwłoki ojca, w ziemię patrząc ciemną,
krzyknął mu — nawet spojrzeć nie dając za siebie,
jakby do wyższych zadań czas naglił: „Pójdź ze mną".

A kiedy w przeddzień krzyża, w Ogrójca mozole,
całego świata grzechy wziął na barki Swoje —
zadrżał, i krwawym potem napisał na czole:
„Ten znój jest ponad wszystkie w dziejach ziemi znoje".

*

* *

Rzucając w tłumy słowa Nieśmiertelnej Treści,
których moc, chociaż przebrzmi świat, zawsze trwać bę-
[dzie —
uświęcił jednak formę, która zmysły pieści,
bo na ziemi — w artystów ziemskich stanął rzędzie.

Był malarzem — albowiem wśród ludu ekstazy,
przed swą ziemią z zachwytu przycichłą i zbladłą
przesuwał w przypowieściach tak barwne obrazy,
że chyba — odbijało je wód jej zwierciadło!

Był muzykiem — albowiem słów swych rozśpiewanie
raz natężał, natężał aż do krzyków burzy,
raz uciszał w szmerliwe, pieściwe litanie,
podobne pluskom deszczu na liść śliski róży!

Był poetą — albowiem na dowolny temat
wydarzenia — jak słowa — potrafił zamykać
w kształt Swej Woli, stwarzając wciąż żywy poemat,
który świat mógł oglądać, a nawet — dotykać!

*

* *

Dziedzic Nieba, głoszący z dumą: „Kto Mnie wyzna,
wyzna Ojca", co gromy ma na zawołanie —
mówił jednak o ziemskiej ojczyźnie: „ojczyzna",
choć — wszechwiedzącym będąc — wiedział, co się stanie

Pieściwemi oczyma szedł po zbóż jej szumach,
choć to zboże klątwami na Niego zasyczy!
Kładł Zbawiające Ręce na rodaków tłumach,
choć te tłumy napoją Go czarą goryczy!

Ojczysty język czynił Prawd Swych złotą struną,
choć w tym właśnie języku zostanie skazany!
Współczuł pysznym stolicy murom, które runą,
choć ta stolica zakuć Go każe w kajdany!

Klęski ziemi swej wróżył pełnym bólu głosem,
choć Go ta ziemia śmiercią krzyżową oniemi!
I płakał nad nią — płakał, jak nad własnym losem —
pierwszemi w dziejach łzami przebaczającemi...

*

* *

Lecz obcych nie odtrącał... Ujrzawszy na drodze
Samarytankę, której narodem gardzono,
stanął i jawnie — w białej południa pożodze —
przemówił do niej — mową duchem napełnioną.

Zrazu nie mogła pojąć. Pod tchnieniem zdumienia
cofała się, jakgdyby trwogi czując dreszcze,
niepewna — czy to sen jest, co wszystko odmienia,
czy coś, czego na ziemi nie bywało jeszcze...

Dopiero zczasem, zczasem, po rozmowie takiej,
jakiej nawet w dzieciństwie nie byłaby godną,
przestawszy wkońcu trząść się, jak schwytane ptaki,
uczuła się swobodną nagle i pogodną.

Jakgdyby po raz pierwszy zawstydzona brakiem
świętości, zagubionej gdzieś na drogach śliskich,
spowiadała się przed Nim, niby przed rodakiem,
czy przed Kimś — od rodaków bliższym i od wszystkich!

...I wtedy to — płonącą w tęsknocie straszliwej,
która wszystkie z serc grzechy zrywa, niby tamy,
napoił ją — jak swoich — falą Wody Żywej,
dla wszystkich starczającej, dla wszystkich tej samej.

*

* *

Wyginięcia wśród ludzi niezgód, sporów, waśni
pragnął, jak nikt na świecie — Nieprzyjaciel mroku.
Któż od Niego wyraźniej, któż od Niego jaśniej
wymawiał złote, ciepłe, miękkie słowo: „pokój"?

Wielkim głosem przed klęską rozłamów i kłótni
przestrzegał, bo Mu słabość ludzka była znana.
Któż od Niego posępniej, któż powiadał smutniej:
„Rozdzielać was — jest celem odwiecznym szatana"?

Słodyczy, pobłażania, braterskiej miłości
nauczał mową czystą, jak słońce na niebie.
Któż zaklinał cudowniej, któż od Niego prościej:
„Miłujcie się — to główne — miłujcie wśród siebie"?

*
* *

Miłości ziemskiej — małej miłości doczesnej —
utworzonej przedziwnie ze światła i z cienia:
śmiejącej, zapłakanej, rozkosznej, bolesnej,
pełnej gorzkiego szczęścia, słodkiego cierpienia;

jak kwiaty pieszczotliwej, drapieżnej jak szpony,
chodzącej wyżynami, chodzącej padołem,
pokornej i zuchwałej, ślepej i natchnionej,
zwanej ziemi szatanem lub ziemi aniołem —

nie potępił, jak jakiś asceta surowy,
czy jak wzniosły szaleniec, co życia zabrania!
Lecz gdy się pochylały przed Nim młode głowy,
oddając Mu z obawą los swego kochania,

spoglądał z nieskończonem Miłosierdziem Swojem
na tę miłość (co twarze barwiła płomieniem,
w sercach się, niby ptaki, tłukła niepokojem,
a na przymkniętych oczach drżała powiek drżeniem...)

i ująwszy ich dłonie w Swoje Ręce białe,
niosące pokój w ludzkość, w kraje i w rodziny,
wiązał dwie ziemskie dole, kruche i niestałe,
w związek — co ma być silny i ma być jedyny.

*

* *

Oblubieniec dusz — czystszy od aniołów białych,
niezapłoniony nigdy miłosnym rumieńcem —
kobietę, którą gardził ówczesny świat cały,
podniósł — uskrzydlił — oplótł aureoli wieńcem.

Zjednany intuicją, co jest ducha wzrokiem,
i pokorą, co łaski wyprasza olbrzymie —
natchnionej Marji szeptał o niebie wysokiem...
nieśmiałej Cudzoziemce wyjawiał Swe Imię...

Ujęty siłą wiary — u kobiet tak wielką —
wskazał im nową rolę: nietylko żyć domem,
lecz wraz z Samarytanką, miasta budzicielką,
iść w tłumy i zapalać je — słów swoich gromem.

Łaskawszy dla uczucia, niż dla wiedzy suchej,
w blasku Zmartwychwstałego wędrując po świecie,
nie ukazał się mędrcom — pełnym pychy głuchej —
ale kobiecie: smutnej, płaczącej kobiecie.

Urodzony z kobiety, pod Jej wzrosły pieczą,
w piękność ducha Swą Matkę ustroił królewsko,
aż po wiek wieków — pierwszą jest duszą człowieczą:
dusz różą — perłą — gwiazdą — jutrzenką niebieską!

*
*
*

Gdyby był chciał — mógł wzrokiem nieba welon cichy
rozedrzeć, aż przestrachu płacz z tłumów wystrzeli:
otworzyć zaświat, raju pokazać przepychy
i chwałę dusz — jaśniejszą od samej słońc bieli!

Albo gdyby był chciał — mógł skinieniem Swej Ręki
uczynić życie ziemskich upojeń biesiadą:
rozpalić wszystkie szczęścia, zgasić wszystkie męki
i ziemię rajskich kwiatów zasypać kaskadą — — —

Ale On nie chciał ludzi pociągać przemocą:
złotym łańcuchem darów, co zmysły zachwyca.
— Niech idą w niebo wolni ciemną dziejów nocą,
trzymając się Słów Jego, jak smugi księżyca.

*

* *

Kiedy Mu — jako temat — podsuwano z lękiem
te krążki metalowe, co od lat najstarszych
migocą zimnym blaskiem, dzwonią zimnym dźwiękiem:
pieniądze z wizerunkiem profilów monarszych —

to widział w owych krążkach odwieczne symbole
wszystkich spraw materjalnych jednostki i masy
(o które — z ciężką fałdą zadumy na czole
człowiek będzie się troskał po wszystkie swe czasy!)

i nie chcąc nawet dotknąć ich Swojemi Słowy,
co tylko nad Niebieską Misją miały pieczę —
odsuwał się i, z lekkiem odwróceniem głowy
pozostawiwszy ludziom wszystko, co człowiecze,

mawiał szybko: „Oddajcie wy to cesarzowi".
Jakby myślał, że pełnem znaczenia wielkiego
zdaniem owem — świat cały ostro przepołowi
na to, co na nim Jego jest i co nie Jego.

*

* *

Szczęście: to sławne szczęście, które każdy goni,
a którego, jak wiemy, nikt nigdy nie złowi —
(podobne nie mogącej dać się zamknąć woni...
podobne nie chcącemu stać w miejscu wichrowi...)

to szczęście, którem dźwięczą wszystkie ludzkie mowy,
lecz którem dźwięczeć nie chce żadne ludzkie życie —
(zwodniejsze, niż dreszcz światła złoty i różowy...
kruchsze, niż wiotka kwiatu uroda w rozkwicie...)

to szczęście cichym szeptem wabione w marzeniu
albo wołane krzykiem przez serca rozdarte,
On utopił w milczeniu — w głębokiem milczeniu —
niby coś, co jest nawet wspomnienia niewarte!

...A jednak, niezrażeni wcale owym brakiem,
ludzie nie odchodzili, ufali Mu dalej,
i — zasłuchani — żyli w upojeniu takiem,
że o tem sławnem szczęściu wprost zapominali.

*

* *

I co On miał, że biegli za Nim niestrudzenie:
w rumieńcach, w biciu serca, w triumfie, w zachwycie,
choć głosił szorstką cnotę i gorzkie cierpienie?
Miał na swych cichych ustach jedno słowo: Życie.

I co im obiecywał, że tonąc w słuchaniu,
nie czuli słońca, wiatru, róż, ptaków, motyli,
całej gorącej ziemi w pokus rozszeptaniu?
Obiecywał im jedną rzecz: „Będziecie żyli" — — —

I jak nazywał Siebie, że w szale wierności
zabijali wewnętrzną walką uporczywą
głód złota, głód rozkoszy, głód czci, głód wolności?
Nazywał Siebie jednem zdaniem: „Jam jest Żywot"...

*

* *

Śmierć zwyciężał z prostotą, szybko, bez patosu,
ani dla sławy, ani przed ludźmi w sekrecie:
zwyciężał ją z pomocą gestu albo głosu,
jakby to było rzeczą najzwyklejszą w świecie.

Z prostotą otworzywszy serdecznie ramiona,
rzekł: „Łazarzu!", jakgdyby z tęsknoty ogromu,
i Łazarz — oddech życia chwytając do łona —
wybiegł z grobu swobodnie, jak z własnego domu...

Z prostotą kładąc rękę na zimnem posłaniu,
szepnął tylko: „Dzieweczko!" do śpiącej na wieki,
i dzieweczka — różowa, jak po długiem spaniu —
dźwignęła ciężką głowę, podnosząc powieki...

Z prostotą nad nieżywym stając synem wdowy,
rzucił okrzyk: „Młodzieńcze!" niby rozkaz krótki,
i młodzieniec — z pośpiechu cały purpurowy —
zerwał się z mar, jak żołnierz na odgłos pobudki...

I z prostotą też — burzy nie czyniąc najmniejszej,
nie trwożąc nawet nocy, co w mroki otula,
wyszedł Sam z swej mogiły, od świtu jaśniejszy,
i szedł w świat — naturalnym krokiem jego Króla.

*

* *

Od chwili, gdy wskrzeszaniem zdjął z ludzi cień strachu,
który od śmierci, jak od chmur, padał na ziemię —
ci co z Nim szli — w cudownym świata tego gmachu
uczuli się wolnymi: opadło z nich brzemię.

Słowo: „śmierć", które dotąd w życia pogwar dźwięczny
oddechem mrozu wiało, gasząc śmiech pogodny —
płynęło teraz ziemią, jak strumień miesięczny,
strojąc ją w ubiór z marzeń: srebrzysty, choć chłodny.

Myśl o własnej swej śmierci, co chwyciwszy w sidła,
oblepiała, jak mułem, wstrętną trwogą śliską —
jęła szumieć u ramion, jak skrzydła: jak skrzydła,
na których będzie można odfrunąć nad wszystko.

Ciężka żałoba — w gęstych welonach pogrzebu
chyląca się ku czarnej, niskiej, suchej ziemi,
wzniosła spłakane oczy ku jasnemu niebu,
gdzie duchy są, jak gwiazdy — światłami wiecznemi.

Straszność ostatniej chwili — umieranie samo,
zwane kaźnią, co życie wydziera bezwzględnie,
stało się przejściem: szorstką, lecz zbawienną bramą,
prowadzącą — ku Wiośnie, co nigdy nie zwiędnie.

*

* *

Za ową bramą, której niewierny się lęka,
progu życia z rozpaczą trzymając się wściekłą —
głosił wieczność, co w gromkich słowach Jego pęka
na dwa przeciwne światy: na Niebo i Piekło.

W niebie zakwita miłość, której nakształt słońca
przyświeca sama Boga Twarz — w blasku ujrzana.
W piekle pośród głębokich ciemności bez końca
bucha nienawiść — szczuta klątwami szatana.

Niebu naprzeciw — choćby przez krwawą Golgotę
warto iść, łamiąc krzyżem ramiona omdlałe.
Piekła się chroniąc — pokus wonne jabłka złote
warto deptać, choć szczęścia sokiem są nabrzmiałe.

Do nieba wejdą wszyscy, obleczeni w białość
niewinności, lub w świętych swych łez jasną skruchę.
Do piekła — wszyscy strojni w szkarłatną wspaniałość
pychy, którzy po zbrodniach oczy mieli suche...

*

* *

Więc cały Świat i Zaświat, choć pomiędzy niemi
leży noc, poza którą wzrok żaden nie sięga —
ogarnął w swoich wizjach, największych na ziemi,
On, który nie znał granic: Jedyna Potęga.

Życie i Śmierć: dwóch wrogów, walczących bez paktów,
których strategję ludzkość napróżno wyśledza —
pochwycił triumfalnie w pęta słów i faktów
On, co nie znał zagadek: Jedyna Wszechwiedza.

Zło i Dobro, splątane myśleniem człowieczem
w supeł, z którego rozum nie umiał ozdrowieć —
przeciął błyskiem swych sądów, niby jasnym mieczem,
On, który nie znał wahań: Jedyna Odpowiedź.

Od Ziemi w Niebo praw swych przerzuciwszy mosty,
dla ludzi dobrej woli wskazany kierunek,
nauczył żyć i umrzeć w sposób bardzo prosty
On, co nie znał trudności: Jedyny Ratunek.

*

* *

Nauka Jego krótka. Czyż nie okruszyną
wydaje się wśród wielkiej słów ludzkich zamieci
ta garstka prawd, co zwane są Dobrą Nowiną?
A jednak to jest dosyć dla wszystkich stuleci.

A jednak to jest dosyć dla całej ludzkości,
dyszącej zawsze jednem o cel swój pytaniem:
dosyć, aby móc Światło poznać wśród ciemności
i bez chwili namysłu — spokojnie pójść za niem.

UNIVERSITY OF ILLINOIS-URBANA
3 0112 073219666